



№ 52.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 23 grudnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Chrystus w chwale (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Choinka u Bozi (więrsz, z drzeworytem). — Przegląd polityki zagranicznej. — Przed oknem wystawy gwiazdkowej (drzeworyt). — Swatostwo i zaślubiny u Permiaków. — Przegląd muzyczny. — Józef Brandt (z 2 drzeworytami). — Oddrzwia z czarnego marmuru w klasztorze tynieckim (drzeworyt). — Szachy. — Przegląd piśmienniczy. — Wystawa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych (do kończenia). — Szewskie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

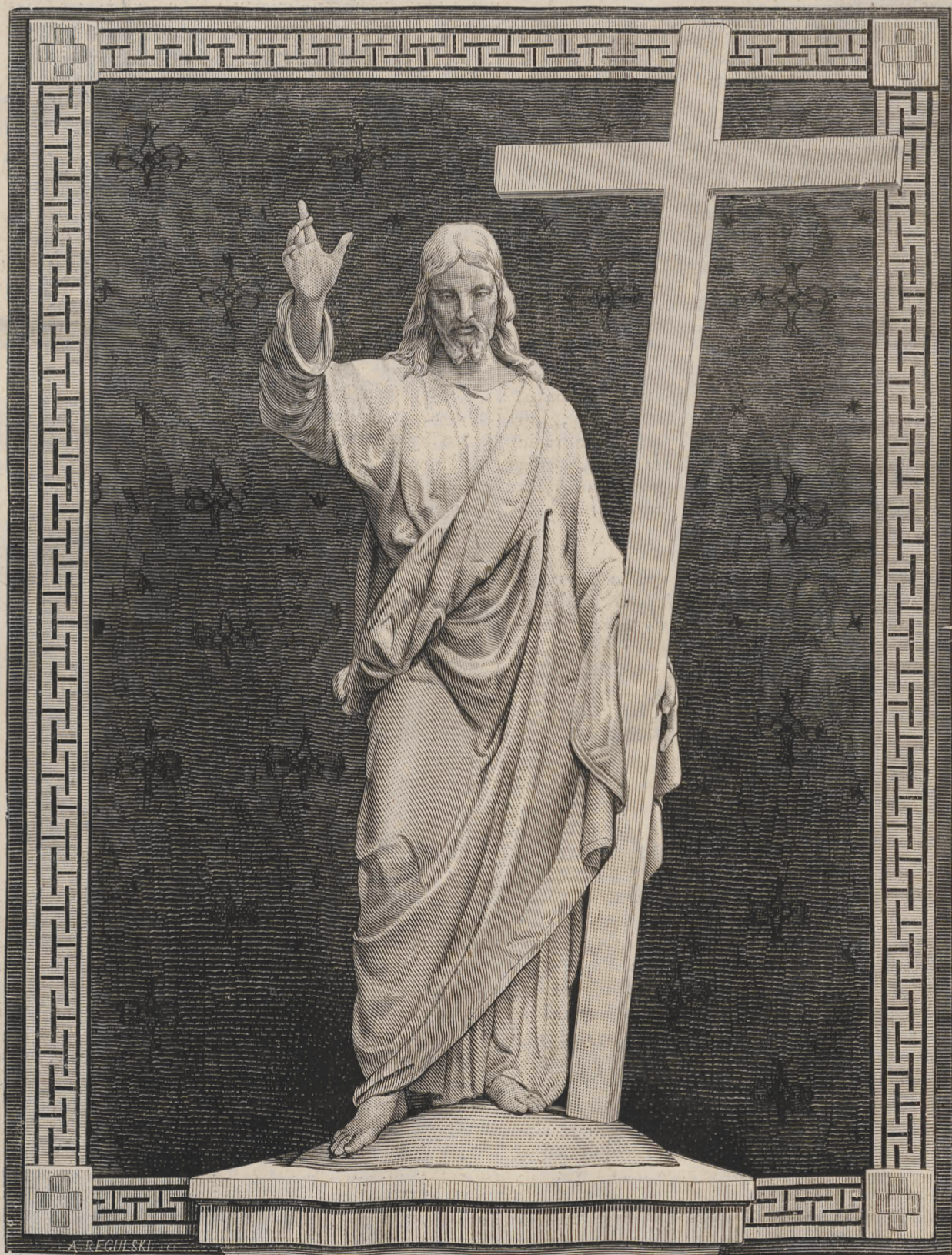
CHRYSTUS W CHWALE.

RZEŻBA A. PRUSZYŃSKIEGO.

Wielki ołtarz kościoła parafialnego w Radomsku, przy zaletach architektonicznych i stylowych, tą jeszcze odznacza się oryginalnością, że do przyozdobienia użyto samą tylko rzeźbę. Wielu bardzo uważa takie zastosowanie rzeźby za nieodpowiednie świątyniom chrześcijańskim; zdanie jednak takie nie opiera się na trwalszej estetycznej zasadzie. Poczucie zaś estetyczne ludowe u nas nietylko że nie jest rzeźbie przeciwne, lecz owszem, więcej się w niej niż w malarstwie zdaje lubować. Pominąwszy jednak mało wykształcony smak estetyczny ludu, przyznać należy że utwory rzeźbiarskie, które pan Pruszyński przyozdobił wielki ołtarz kościoła w Radomsku, zdolnemi są zadowolić wytworny nawet smak prawdziwego znawcy.

Kolosalna statua Chrystusa w chwale, zajmująca miejsce głównego obrazu, technie nadziemską powagą i spokojem. Zbawca, jedną ręką wsparty na krzyżu, godła hańby niegdyś, a dziś zbawienia, drugą ręką wzniesioną wskazuje wyżyny, z których ojciec niebieski szle nędzom ludzkim miłosierdzie i uspokojenie.

Wyborne pojęcie i uplastycznienie tak wzniosłego zadania, daje nowe a chlubne świadectwo talentowi p. A. Pruszyńskiego i przypomina wiele poprzednich jego utworów, które jednakże więcej zjednały mu słownego uznania, niż dostarczyły pola do użytkowania wszystkich zasobów talentu i artystycznego wykształcenia.



Chrystus w chwale. Rzeźba Andrzeja Pruszyńskiego, w kościele parafialnym w Radomsku.

Kronika tygodniowa.

Ileż to życzeń posypie się dzisiaj, gdy przed wspólną ucztą wigilijną oplatak kolejką łamać się będzie!

Zdrowia, szczęścia i wszelkich życia powodzeń! Tyle tylko pewna, że złota, czy ozłocona pozornie fortuna, najwięcej znajdzie ku sobie wyciągniętych rąk i podniesionych gorącymi pragnieniami serc; bo nie zaprzeczy nikt, że jest ona bóstwem wielu, celem życia, choć tylko środkiem, a raczej jednym ze środków jego być powinna.

I dlatego to my, mając wam, o czytelnicy, życzyć dóbr nieznikomych, alerzeczywistych, wskazemy na dom, rodzinę, i społeczeństwo.

I życzymy, aby dom wasz, silny na burze i gromy, nosił w ścianach swoich myśl ożywiająca, ciepłą, płodną w następstwa błogie. Niech będzie jako słońce, które wypromienia siłę i wzrost, daję ruch i zdrowie.

A rodzina wasza niechaj będzie bratniem kółkiem w jedno splecionych, nierozrywanych nigdy ogniów. Niech szczęścia szuka w pełnieniu obowiązków pośród siebie i w sile moralnej, która jest dla nas cementem spajającym.

A społeczeństwo niechaj stoi na domu i na rodzinie; bo pamiętać o tym należy, iż dom i rodzina, gdy się chwieją i drżą, społeczeństwo drży wraz z niemi.

W ostatnim numerze Tygodnika, dając rysunek i opis medalu wystawy filadelfijskiej, objawiliśmy życzenie, aby jaknajwiększa liczba wystawców naszych zaszczyconą została tym honorowym odznaczeniem. Otóż życzenie to spełniło się w sposób rzeczywiście świetny. Z wystawców narodowości polskiej w królestwie i cesarstwie, których ilość, o ile wiemy, nie o wiele stu przenosiła, otrzymało medale aż 58 (z tych za sam cukier 14), a więc połowa mniej więcej, podczas gdy w innych krajach przeciętnie na 5-ciu wystawców wypadła jeden medal.

Nie wyprowadzamy ztąd bynajmniej wniosku, aby przemysł nasz przewyższał zagraniczny, lub nawet mu dorównywał; w każdym jednak razie fakt ten dowodzi niezwyklej staranności, z jaką wystawcy polscy na wielkim tym wiecu międzynarodowym wystąpili, i z tego względu istotnie jest pocieszający.

Nadmieniamy w końcu, że na liście nagrodzonych znajduje się także wydawca naszego piśma, p. Gracyan Unger, który otrzymał medal za wytworne druki i „Album drzeworytnicze malarzy polskich.“

Serya trzecia *Albumu Napoleona Ordy* wyszła już na widok publiczny, nakładem autora. Zawiera ona 30 widoków, głównie z gubernij: kowieńskiej, mińskiej, witebskiej, wołyńskiej i kijowskiej, wykonanych bardzo starannie w litografii p. M. Fajansa, według rysunków, zdjętych na miejscu przez p. Ordę.

Szczególną malowniczością lub wartością pamiątkową odznaczają się w tej części: *Wellona* nad Niemnem (gub. kowieńska); *Birze* (gub. kowieńska), niegdyś siedziba Radziwiłłów, dziś Tyszkiewiczów; *Zaosie* (gub. mińska), miejsce urodzenia Mickiewicza; *Ubiel* (gub. mińska), miejsce urodzenia Moniuszki; *Krasław* nad Dźwiną (gub. witebska), własność rodziny Platerów; *Rydowl* (gub. wołyńska), własność dawniej Czartoryskich, obecnie Rzyszczewskich; *Korsun* nad Rosią (gub. kijowska); *Stebłow* (gub. kijowska), własność Hołowińskich, ze starą, dziś uschłą już lipą przed dworem, którą wślawił nasz Adam w „Panu Tadeuszu“ i w. in.

Pominawszy znaczenie jego artystyczne, Album p. Ordy ma dla nas wartość nieocenioną z tego już względu, że żywym jest pomnikiem starodawniej kultury naszej w tamtych stronach, że świadczy wymownie wobec zagranicy, iż kultury tej

nie przyniosły ze sobą warstwy naleciałe przybyszów, lecz owszem, zastały ją w miejscu i z niej korzystały. Choćaby dlatego tylko, zbiór ten szacowny znajdująca się powinien w każdym zamożniejszym domu polskim. Cena seryj I (złożonej z 50 widoków) rs. 15, seryj II i III po rs. 9.

Inną nowością na polu sztuki jest wielkich rozmiarów litografia, zdjęta z obrazu olejnego p. *Tytusa Maleszczyńskiego*, a przedstawiająca uroczą, tak cudnie przez nieśmiertelnego Adama opisaną chwilę, w której Zosia, wybiegłszy wczesnym rankiem w bieli z dworu soplicowskiego, sypie ziarno na głowy garnącego się pod bosc jej stopy drobiu.

Oryginał znajduje się obecnie na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Pozostawiając przeto szczegółowy sąd o nim naszemu sprawozdawcy specjalnemu, nadmieniamy tylko, że całość przedstawia się bardzo wdzięcznie, a piękne, prawdziwie artystyczne jej wykonanie na kamieniu przynosi zaszczyt zakładowi litograficznemu p. *Wł. Walkiewicza*.

Pan Michał Kotoński, przedsiębiorca, powziął myśl przysłużenia się miastu wystawieniem teatru zimowego, w którym dawane byłoby mogły widowiska, niezależnie od teatrów już istniejących.

Zamiar ten przeszedł już w wykonanie, teatr stanął gotowy i czeka tylko chwili, w której sztuka zejdzie na scenę jego, a publiczność zapelni salę. Znajduje się on tuż obok Eldorado, przy ulicy Długiej, nr 586. Jest teatrem zimowym, ale wybornie urządzona wentylacja czyni go poniekąd i letnim. Sala jego pomieścić może do 700 widzów, w wygodnych krzesłach, w łóżach obszernych (z których każda na sześć osób), oraz na galerii i amfiteatrze. Wszystko tam urządzone z gustem, a scena, niemniejsza od sceny teatru Rozmaitości, wybornie nadawać się będzie do komedii i opery komicznej.

Obok teatru, który ma wejście bardzo wygodne i salę wstępną wykwienną, znajduje się obszerne foyer, z kilku sal złożone, a wszystko jest już dziś w pogotowiu.

Nowy ten teatr wybornym jest dla miasta nabytkiem. Sądzić możemy ze posługiwać będzie często do przedstawień amatorskich, koncertów, a nawet i odczytów. Za parę tygodni odbyć się w nim mają dwa koncerty, które będą zarazem uroczystością inauguracyjną dla tego pięknego przybytku sztuki. Życzymy gorąco, aby *sztuka* tylko, prawdziwej i poważnej, służył za siedlisko, nie wspólnego nie mając nigdy z tém, co bawi wprawdzie, ale obyczaj i moralność podkopuje.

Przy sposobności godzi się też nadmienić, że w innej stronie miasta, a mianowicie przy ulicy Chmielnej, stanąć ma także teatr, w którym grzać będzie przez lato trupa poznańska pp. Terenkoczego i Doroszyńskiego.

Trzecie z rzędu opowiadanie dziejowe J. I. Kraszewskiego p. t. *Bracia zmartwychwstańcy*, opuściło już prasę. Opowieść ta, w trzech tomach, odnosi się do epoki bohatera, który zjednoczył lechicką Słowiańszczyznę, księżtewka i ziemię polłączył w potężne państwo i władzę swą uwieńczył pierwszą koroną królewską.

Tytuł powieści, zajmującą ze względu na treść, a bardziej jeszcze na czasy do których się odnosi, nie pozwala się domyślać, że główną w niej postacią, słońcem ześrodkowującym w sobie wszystkie promienie świetnego opowiadania, jest Bolesław Wielki. Rzecz idzie jednak o dwóch Jaksów, którzy, dopuściwszy się zabójstwa i rabunku na publicznej drodze, sądem Chrobrego na śmierć sromotną skazani zostali. Enmilda, żona Bolesława, niewiasta anielskiej dobroci biednych skazańców tajemnie z więzienia wypuszcza. Król później boleje nad surowością swojego wyroku,

aliści ból ten zamienia się w radość, gdy mu małżonka stawia przed oczy Jaksów, żywych i zdrowych. Posłują oni później do Rzymu po koronę, a powieść kończy się w chwili, gdy ją Bolesław uroczyście na skronie wkłada, tryumfalnie obchodząc narodziny swego królestwa.

Mnóstwo tu epizodów wysoce ciekawych, mnóstwo nieprzebrane rysów dziejowych, zebranych skrzącnie, ujętych w całość barwy pełną. Tylko, niestety, Bolesław Wielki nie pojawia się tu w całej gloriach bohaterstwa; jest już mężem w lata zapędzonym, troskającym się o przyszłe losy swojego dzieła i tęsknie spoglądającym na Mieszka, w którym nie widzi ani siły woli, ani geniuszu do walk przyszłych a niezawodnych. Późniejsza to już i końcowa epoka Bolesławowego żywota, ztąd postać bohatera zdaje się niepełną, jakby osłabłą, chociaż rysów błędnych w powieści Kraszewskiego odszukać niepodobna.

Pani Wanda Żeleńska przysłażyła się młodzieży naszej piękną bardzo książką, p. t. *Znakomite niewiasty*, która jest zbiorem kilkunastu życiorysów. Wprawdzie autorka nie daje bynajmniej do zrozumienia, iż pracę swą poświęca wyłącznie młodzieży; mówi ona najwyraźniej, że dziełko to jest przeznaczonem dla osób, które nie miały jeszcze czasu szczegółowo z wybitnemi w dziejach osobistościami się zapoznać — my przeciwie książkę tę gorąco polecamy dorastającej młodzieży, dla której przykłady z dziejów poczerpnięte mają nieprzeparty urok i środkiem wychowawczym być powinny.

W szeregu zawartych tu biografij z dziejów naszych występują: Jadwiga, Barbara Radziwiłłówna, Anna Jagiellonka, Marya Leszczyńska i Hofmanowa; — następane życiorysy poświęcone są postaciom obcym, ale budzącym interes wszechludzki. Dziełko całe obejmuje 238 stron, a skróślonę jest językiem nietylko czystym, ale nawet pięknym. Jeden to więcej powód do serdecznego zalecania *Znakomitych niewiast* młodzieży naszej.

Wydaniem tej książki p. Hösiek zbogacił niezbyt obfity u nas poczet dobrych książek dla młodzieży.

Na kilka już tygodni przed wystawą, urządzoną zeszłego miesiąca przez muzeum przemysłowo-techniczne, odbieraliśmy mnóstwo listów, pisanych niewiściami pióry, z zapytaniem, czy na rzeczoną wystawie i okazji pracy kobiecej pomieszczone będą. Były, co prawda, ale nieliczne, z bardzo naturalnego powodu, że w przemyśle żelaznym i skórzanym kobiety prawie żadnego udziału nie biorą (prócz rękawicznictwa i szewictwa).

Teraz jednakże komitet muzeum postanowił urządzać wystawę wyrobów kobiecych wyłącznie i plec niewiściami tym sposobem znajdzie obszerne pole popisu z pracą własną, w najrozmaitszych kierunkach. Ze względu na agitującą się ciągle sprawę równouprawnienia kobiet w pracy i zarobku z mężczyznami, będzie to wystawa niezmiernie interesująca. Pokaże ona jak daleko sięga przemysł niewiściami poza tak zwane robotki, oraz po za roboty około potrzeb domowych, w których prawie każda kobieta u nas mniej lub więcej jest biegłą. Sprawa owego równouprawnienia w pracy na wystawie rzeczoną uwidatni się zarówno z dodatniej, jak i z ujemnej swęj strony.

Gotujcie się tedy, panie, do popisu przed oczyma kraju, który, ciekawy pracy rąk waszych, waszego przemysłu i... przemysłności zarazem, poraż pierwszy pozna je nie z opisów, domniemania lub pogłosek, ale... w żywe oczy.

Co do nas, pewni jesteśmy, że znaczne nasze kobiety, ciche a wytrwale pracownice, obeszły wystawę liczenie, a dzieła rąk ich chludnym staną się dla kobiecego przemysłu świadectwem.



Przed oknem wystawy gwiazdkowej. Podług własnego obrazu rysował F. Streitt w Monachium.



Choinka u Bozi. Kompozycja Ksawerego Pillati'ego.

wodu jednostajnego kolorytu, rzeczy, co prawda, nieuchronnej z samej natury głosów kobiecych.

Dawny uczeń konserwatorium warszawskiego, na stopnie moskiewskiego, a dzisiaj niepospolity skrzypek, p. Stanisław Barcewicz, wystąpił z koncertem w teatrze Wielkim, w dniu 7 listopada, przed niezbyt liczną, ale z prawdziwych miłośników muzyki złożoną publicznością. Mechanizm bardzo wysoko rozwinięty i w ślad za tym idąca pewność siebie przy pokonywaniu najtrudniejszych skoków, oktaw, sekst lub terycj, ton pełny i szlachetny, wolny od wszelkiej manieri — oto są dobre strony, cechujące grę pana B., któremu tylko jednej rzeczy nie dostaje, to jest większego ciepła, odpowiedniego młodemu wiekowi, zwłaszcza zaś w wykonywaniu takich miejsc, któreby konieczne koncertanta, a przezeń i publiczność, zelektryzować powinny. Pomimo to pan B. jest niezaprzeczeniem pierwszorzędym wirtuozem; — męzki spokój jego gry, chociaż go niekiedy bywa za wiele, usposabia dla niego słuchaczy przychylnie; widocznie bowiem pan Stanisław Barcewicz wolnym jest od zarozumiałości i lekceważenia słuchaczy, co bywa nieraz ujemną stroną znakomitych wirtuozów. Z większych utworów odegrał koncert Brucha i fantazyą z Otella Ernsta. Zdaje nam się, że ta ostatnia mniej jest odpowiednią dla talentu koncertanta, który widocznie nadaje się bardziej do kompozycji klasycznych, wymagających właśnie gry spokojnej, czystej i poważnej.

Doroczny koncert na dochód niezamożnych studentów odbył się dnia 12 listopada, pod dyrekcją p. Quattriniego, przed liczną, jak zwykle, zebrałą publicznością. Program jego, bardzo urozmaicony, składał się, oprócz muzyki, z trzech deklamacji, wypowiedzianych przez pannę Deryng, oraz panów Królikowskiego i Szymanowskiego. Co się tyczy części muzycznej, bardzo nas zajął nieznaną dotąd u nas poemat symfoniczny Saint-Saënsa, pod tytułem: „Danse macabre,“ utwór wielce oryginalny, tak pod względem pomysłu, jakoteż i instrumentacji, wykonany, niestety, chwajnie i niedostatecznie wycieniony. Z wielkim zajęciem słuchano dwóch sympatycznych kompozycji Wł. Żeleńskiego, na fortepian i skrzypce, Romance i Danse fantastique, oraz dawno u nas niewykonywanego choć pięknego duetu z „Paryi“ Moniuszki, na tenor i baryton. Nie możemy też pominąć milczeniem gry utalentowanej amatorki-pianistki, pani Belau, która wykonała bardzo biegłą, z towarzyszeniem orkiestry, Rondo Szopena op. 14. Słabą stroną koncertu, równie tego jak i dawniejszych, urządzanych na tenże sam cel, była jego zbyt duża długość, co przy gorącu, oraz ciasnym siedzeniu, odejmowało słuchaczom połowę przyjemności, a sprawiało znużenie, dające się spostrzegać na twarzach wszystkich obecnych.

Po rocznej przerwie mieliśmy znowu sposobność usłyszenia pani Jakowickiej, tudzież utrwalenia się w pochlebnym zdaniu, jakie o niej wypowiedzieliśmy w zeszłorocznym sezonie. Pani J. w kazała nam we własnym koncercie (d. 20 listopada) cały zasób swego bogatego głosu, oraz umiejętność właściwego nim władania. Najrozmaitsi kompozytorowie znaleźli w niej dzielnego tłumacza swych myśli; zarówno bowiem dobrze odśpiewała p. J. większe arye z Don Juana, Lindy, Hamleta i Aidy, jak i niewielką z Hrabiny, lub też wdzięczną kołysankę z Dinory. Wystąpiwszy następnie trzykrotnie w gościnnych rolach w Żydówce, Halce i Normie, pani J. miała sposobność okazania na szerszym polu całego bogactwa swego głosu; część też wokalna rol Racheli, Halki i Normy była tak świetną, jak to się na deskach naszego teatru nieczęsto przytrafia. Nade wszystko arya z Halki: „Gdyby rannem słonkiem“ odśpiewała pani J. nieporównanie. Żal nam tylko że równie dodatnio nie przedstawiła się strona dramatyczna artystki, zwłaszcza zaś w takich miejscach, gdzie na niej przeważnie efekt sytuacji polega. Gdyby pod tym względem pani J. była w zupełności zadowolająca, mogliśmy mieć w niej primadonę, zdolną przedstawiać godnie największe i najtrudniejsze role. Pomimo tego jednak niedostatku, nie wahamy się wypowiedzieć zdanie,

że pani J. może być ozdobą każdej większej sceny.

Niedawno przybyły na czas dłuższy do naszego miasta wiolonczelista, p. Arwed Poorten, dał się kilkukrotnie poznać naszej publiczności, na różnych koncertach lub wieczorach muzycznych, głównie zaś na swym własnym koncercie, d. 25 listopada. Pana Poortena nie poprzedziła rozgłośna sława, dlatego byliśmy przyjemnie zdziwieni, znalazłszy w nim wirtuoza pierwszej siły, tak pod względem mechanizmu, jakoteż pojęcia, uczucia, oraz szlachetności w oddaniu najdrobniejszych nawet utworów. Czy to w koncercie Schuberta, lub Golttermanna (wykonanym w Towarzystwie muzycznym), czy też w drobnych utworach, wszędzie okazał się p. P. nietylko odznaczającym się wirtuozem lecz i inteligentnym artystą. Wielkiej to wagi nabytek dla niedawno zreformowanego stałego kwartetu smyczkowego w Towarzystwie muzycznym.

Słyszane u nas niejednokrotnie „Widma“ Moniuszki, a wystawiane dawniej pod dyrekcją samego autora, wznowiono po kilkoletniej przerwie, staraniem pana Quattriniego, i wykonano w dniu 3 b. m. Kompozycya ta, wypełniająca całą część drugą koncertu i stanowiąca jego główną przynętę, sprowadziła liczną publiczność, cheiwa usłyszenia tego arcydzieła Moniuszki. Jakkolwiek wykonanie pod względem wykończenia pozostawiało niejedno do życzenia (podobno z powodu niedostatku prób), jednak całość przedstawiała się imponująco, zwłaszcza zaś miejsca zbiorowe, pełne, jak zwykle u Moniuszki, dramatycznego efektu. To uznanie, okazane przez publiczność „Widmom“, powinno być zachętą dla urządzających zbiorowe koncerty, aby się postarali o wznowienie innych większych utworów koncertowych naszego niezapomnianego mistrza, jak Sonetów krymskich i Mildy, a publiczności, chętnej do słuchania tych arcydzieł, pewno u nas nie zabraknie.

Pan Juliusz Żarębski, jeden z najlepszych podobno uczniów Liszta, wystąpił trzykrotnie, w dniach 6-ym, 11-ym i 16-ym b. m., wypełniając sam jeden programy wszystkich tych koncertów. Rzadki to wypadek żeby który z wirtuozów wywołał grą swoją tak sprzeczne, posunięte nawet do ostateczności zdania, jak pan Z. Jedni podziwiali kolosalny i wszechstronny talent koncertanta, drudzy zaś po za ogromną techniką nie przyznawali mu ducha, uczucia, ani nawet dokładnego zrozumienia niektórych autorów. W rzeczywistości zaś pan Z. imponuje głównie olbrzymim mechanizmem i niemniejszą siłą, pokonywając bez trudu najnieprzystępniejsze kompozycje fortepianowe, jak uverture z Tannhäusera Liszta, poloneza c minor i tarantelę z Niemiej tegoż, lub też etudę fis major Tausiga; słowem jest nieporównanym wykonawcą takich kompozycji, których stosowne oddanie polega przeważnie na potężnym mechanizmie, oraz odpowiedniej sile. Zato w kompozycjach całkiem innego rodzaju, niebędących polem popisu dla mechanizmu, ale wymagających głębokiego wniknięcia w ducha autora, gdy ten dźwiękami do sere słuchaczy pragnie przemawiać — pan Z. nie jest bez zarzutu. Szopen na przykład wychodzi z pod jego palców mniej korzystnie, niż Liszt, lub Tausig. Widocznym jest, w jakim kierunku kształcił się dotąd przeważnie koncertant; bacząc jednak jak daleko już zaszedł w tak młodym wieku, nie wątpimy iż niezadługo talent jego stanie się bardziej wszechstronnym i ogarnie zarówno wszystkich mistrzów dawniej jak i nowszej szkoły; — dziś bowiem pan Z. swym ogromnym mechanizmem tylko zdumiewa, ale nie porywa.

Jednym z najsympatyczniejszych dla nas koncertów bieżącej pory był poranek p. Górskiego, dany w dniu 8 b. m., w sali resursy Obywatelskiej. Pan G. występuje corocznie przed publicznością o tym czasie i za każdym razem koncerty jego wyróżniają się ponad wszystkie inne staranie i umiejętnie ułożonemi programami, do których się nigdy żadna mierna kompozycya nie zbłąka. Choćby tylko po tym jednym, poznać można prawdziwego i sumiennego artystę. Jako

o skrzypku, dobrze zresztą znanym naszej publiczności i cenionym, jak na to zasługuje — wypowiedzieliśmy obszernie nasze zdanie zeszłego roku; dziś je tylko uzupełniamy wzmianką, iż talent pana G. wciąż potężnieje. Zbytku zapалу nigdy już nie dostrzegliśmy; zato spokój i powaga czynią grę jego coraz szlachetniejszą, co jednak weale nie wylęca ognia, którym koncertant potrafi nieraz zelektryzować słuchaczy. Ta równowaga spokoju i zapalu nadaje smyczkowi pana G. tyle rozmaitości, że gry jego trzebawy słuchać bardzo długo, aby mózg się nią znużył. Nietylko zresztą jako wirtuoz, ale i jako kompozytor przedstawił się p. G. bardzo korzystnie; w utworach jego przebijają się nieraz interesujące pomysły, a wszędzie widnieje dobra szkoła. Koncertanta wspierali swym współudziałem pani Kamińska (Szlezzygier), powszechnie lubiona śpiewaczka, panna Syrwid, obdarzona rozległym i sympatycznym głosem, oraz p. Hertz fortepianista. Ten ostatni odegrał, oprócz sonaty ze skrzypcami (a minor) Schumanna, dwie części ze świeżo wydanej, a dotąd niegranej publicznie sonaty Żeleńskiego (*). Piękności obu tych części: adagia i scherza, wyszłyby na jaw jeszcze widoczniej, przy większym przejęciu się nimi wykonawcy; na zrozumienie bowiem niektórych ustępów nie możemy się z nim zgodzić. Trudności techniczne zato wydały się fraszką pod biegłymi palcami pana Hertza. Część drugą koncertu wypełnił oktet smyczkowy Mendelssohna, jedna z jego najsympatyczniejszych kompozycji, a niegrana dotąd nigdy, o ile nam wiadomo, publicznie w Warszawie.

Wystawienie w naszym teatrze nowej opery, napisanej przez krajowego kompozytora, jest faktem tak rzadkim, iż mu słów kilka poświęcić należy. Dnia 12 grudnia odbyło się pierwsze przedstawienie „Stradyoty“, pięcioaktowej opery Adama Münchheimera, napisanej do libretta J. S. Jasińskiego. Libretto, ułożone z wielką znajomością akcji, oraz efektów scenicznych, nie przedstawia jednak dostatecznego materiału na pięć aktów, zwłaszcza zaś ostatni jest zbyt zbytecznym, kiedy już w czwartym wszystko się wyjaśnia. Z muzyki wywiązał się pan M. dosyć szczęśliwie; widoczną jest jego umiejętność i wprawa we władaniu chórami i orkiestrą, znajomość wymagań scenicznych, oraz zręczność w wyszukiwaniu efektów czysto teatralnych. Jeśli zaś kompozytor nie odznacza się zbyt świeżymi, ani zbyt oryginalnymi pomysłami, zato każdy z nich potrafi przedstawić zręcznie i we właściwym kolorycie, tak iż chociaż całości nie można nazwać dziełem geniuszu, dowodzi ona jednak niezaprzeczonego talentu kompozytorskiego, oraz wielkiej biegłości w traktowaniu zarówno pojedynczych głosów, jak i mas chóralnych i orkiestralnych. Te ostatnie zwłaszcza wprowadza kompozytor bardzo zręcznie i efektownie, i to zdaje się być najwięcej dodatnią stroną całej opery. Jako odznaczające się, wymieniamy następujące numery: tercet kończący akt pierwszy, barkarolę w drugim, sekstet kończący tenże akt, śpiew Anieli na początku trzeciego, opowiadanie Stradyoty w czwartym akcie, oraz bardzo zręcznie pomysłany i instrumentowany taniec „La furlana“.

Publiczność przyjęła operę i jej twórcę bardzo przychylnie; co się zaś tyczy wykonania, było ono niezwykle starannym. Orkiestrę prowadził p. Trombini karnie i umiejętnie, chóry wyuczone były bardzo dobrze, partye solowe śpiewali artyści wedle sił swoich; słowem całość była zupełnie zadowolająca. Dekoracye, wystawa i balet dopełniały reszty.

Dalsze przedstawienia Stradyoty nie będą prawdopodobnie zbyt częstymi, gdyż wkrótce rozgości się u nas włoska trupa, której wystąpienie lada chwila oczekiwać należy.

Gustaw Rozuski.

(*) Patrz zeszły numer Tygodnika, str. 408, szpalka 2-a.

JÓZEF BRANDT.

Działalność przedniejszych artystów niekiedy da się porównać do burzliwego pędu górskich potoków, które, czy same o skały się rozszarpia, czy skały zepchną w przepaść, dobieść muszą do kresu—do przestworu i swobody, lub śmierci w nieznanych głębiach.

Józef Brandt dosięgnął kresu swobody i przestworu szybkim i niepowstrzymanym pędem; daleki od złamania swojej energii o rafy życia, wypłynął odrazu na to twórczości pole, kędy niema rozczarowań i zwątpień. Jak kunsztmistrz prawdziwy, rozwinął przed naszą społecznością barwny szereg obrazów, które ona za zawsze, przed nim i po nim, w duchu swoim nosiła i nosić będzie, które pieści i kocha wszystkimi siłami i które wita z radosnym okrzykiem, gdy jęć pod pędem mistrzowskim zmarłych wstają.

Obrazami temi są sceny przeszłości, gdzie niema kwileń, czecznych marzeń, konwencyonalnych rysów. Typ, energia, dzielność i prawda, śmiałość, nieustraszonosc, żelazny hart duszy, coś pokrewnego z huraganami i gromem, coś unoszącego ze sobą, jak skrzydła orle w pełnym rozwinięciu locie — oto co patrzy z obrazów Józefa Brandta. Czy luzak prostaczek, czy hetman sre-



Oddrzewia z czarnego marmuru w klasztorze tynieckim. Podług rysunku księcia Woronieckiego.

320

brnowłoso, podnoszący wśród chmur kurzawy i dymów bitwy zwyciężką buławę; czy śpieszące jego śladem tłumy bojowe na spienionych koniach; czy wreszcie dumający w spozyнку rycerskim wojownik nasz na obczyźnie, czy kozak wdzięczący się do dziewoi — wszyscy oni zjawiają się przed nami jako ludzie z krwi i kości, jako bojowe orły, półlegendowe, nie przez swą nadzwyczajność, ale przez ognisty ślad czynu, przez życie burzliwe którym ich wieki oddychały.

Z temi postaciami odrazu wystąpił Brandt przed kilkunastu laty na widowiskę artystyczną i te same postacie dzisiaj z równym a nie wyczerpanym blaskiem przedstawia. Dlategośmy na wstępie działalność jego przyrównali do pędu górskiego potoku. Nie powstrzymały go na drodze żadne zawady, bo artystyczna jego dusza, ni by potężnej rośliny nasienie, wybujała ponad wszystkie chwasty niewłaściwych dla niej warunków życia. Prawda, że posłużyło mu i szczęście; ucząc się śpiewu w Paryżu, zszedł się tam z Juliuszem Kosakiem i został jego uczniem. Gdy taka pełna zapalu dusza jak Brandta, spokrewni się z takim jak Kossak artystą, musi z tego błysnąć światło, to światło piękna, co drogę rozjaśnia, co bystrość oka zaostrza, siły potęguje i rzuca na tworzone obrazy

Kalendarze Józefa Ungra na rok 1877.

KALENDARZ

WARSZAWSKI ILLUSTROWANY POPULARNO-NAUKOWY

na rok zwyczajny 1877.

Wydany obecnie kalendarz na rok 1877 liczy 32-gi rok swego istnienia, i oprócz niezbędnych wiadomości informacyjnych, mieści w sobie artykuły najcelniejszych w literaturze naszej pisarzy.

Oprócz tego pośród działu informacyjnego mieści się tak zwany „Przewodnik warszawski,” który, ze względu na rozmaite wiadomości i informacje jakie w sobie obejmuje, z nową reformą sądową, zarówno dla osób z prowincji do Warszawy czasowo przybyłych, jak i dla stale zamieszkałych, jest nader pożytecznym.

Cena egzemplarza kop. 50.

DZIENNIK

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 30.

KALENDARZ ŚCIENNY

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 15.

Uwaga: Osoby zamieszkałe na prowincji, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszła rs. jednego na powyższe trzy kalendarze, takowe wysłane im zostaną **franco**, jeżeli zaś nadeszła należytość na którykolwiek egzemplarz pojedynczy, w takim razie uprasza się o dołączenie po kop. 10 do każdego egzemplarza oddzielnie, na koszt przesyłki.

Adres: Józef Unger, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.

REBUS.

321



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 51.

Kto sieje wiatr, ten zbierze burzę.

odblask miłości, który w najmniejszy szczegół, jak złote światło zorzy, przenika.

W monachijskiej akademii sztuk pięknych, a głównie pod kierunkiem słynnego batalisty, Franciszka Adama, ukończył Brandt studia swoje artystyczne. W tej właśnie epoce występować zaczął z obrazami, których treść ogólną i żywioł co je naznaczał, wskazaliśmy powyżej.

Co jednakże stanowi istotę twórczości tego artysty i jakie są zalety jego penzla? Świetna treść

nieubłaganie pewnych, matematycznie rzeczywistych. Mimo to ogólna fizygnomia kompozycji, szczególnie w bitwach szerszego rozwoju, jak np. w „Chodkiewiczu pod Chocimem,“ odznacza się układem, pełnym połotu, barwy, grozy, gdzie każda z mas działających wynurza się z chaotycznych dymów, to w postaci świetnego orszaku pogromców, teńących poezją i blaskiem, to w postaci pojedynczych jeźdźców-rycerzy, z których każdy mógłby sam być obrazem oddzielnego przed-

wane, składają się tu na postacie rasowe, ale rodzinne, nieubłagane, ale w boju tylko, niezmordowane, ale tylko w trudach obozów, postacie którym przewodniczy myśl obywatelska. Wszystkich tych typów, tych zalet, i tej strony psychicznej dopatrzeć się można i w obrazie p. t. „Odsiecz dana Wiedniowi przez Jana III,“ który zakupionym został przez szlachtę galicyjską, na podarunek ślubny dla arcyksiężniczki Gizelli. Pierwsze nawet mniejsze obrazy, z którymi na początku swe-



Józef Brandt.

322

nie uwydatnia dostatecznie wszystkich tych stron jego talentu, które mu odrazu wyrobiły rozgłos i uznanie. Główną kompozycją Brandta zaletą jest uderzająco trudne a niezwykle połączenie dwóch krańców: *dosadnej realności z pierwiastkiem fantastycznym*, wyrosłym na gruncie swobody i siły. Obrazy jego czynią zadosyć wszelkim wymaganiom ścisłego rysunku, bez żadnych dodatków, zaokrągleń, lub modyfikacji, rysunku o liniach

miotem. Ta szlachta w malowniczych żupanach, o rysach sepich, żelaznych, jakże typowa i piękna, choć nieokraszona bynajmniej żadnym z owych przyborów i pióropuszków, co często w przeszło-wiecznych bataliach zastępują... ludzi. Brandt stworzył sobie wybitny typ, wzór ogólny człowieka boju czasów minionych. Typ to, jak i cała działalność artysty, żywo przemawiający energią i naturalnością. Kształty budowy silne, zdecydo-

go zawodu wystąpił, jak np. „*Lisowczycy powracający z wyprawy*,“ lub „*Rozbicie i ucieczka Tatarów*,“ tak wybitnie występowały ponad inne swoją oryginalnością i wytwornością kolorytu, lub świeżością pomysłu, że chętnych znajdowały nabywców, nawet po wystawach zagranicznych, jak ostatni w Düsseldorfie.

Nietylko wszakże sama burzliwość bojowa, nietylko polot i tłumne sceny śmiertelnych zapasów

Przegląd piśmienniczy.

Synteza dwóch światów, szkic filozoficzny. Napisał Henryk Struve. Z dodaniem dwóch urywków: 1) Poezja, religia i filozofia; 2) Przeszłość, przyszłość, teraźniejszość. Warszawa, 1876.

znajdują w Brandcie świetnego odtwórcę. Żywioł obozowy wprawdzie panującym jest w jego kompozycjach, umie on jednak, gdy zechce, zapoznać nas i z łagodniejszymi barwami, ze stronami życia, w których występuje spokój, cisza i słodycz, w których ci sami wojacy, te orły bojowe, w zetknięciu się ze spokojnym gniazdem mieszczańskim, lub strzechą wiejską, nowego nabierają światła. Do takich obrazów należy między innymi mający za przedmiot scenę z Pamiętników Paska—, „*Odpoczynek wojska w duńskim mieście*.” Jeżeli wogóle obrazy Brandta celują kolorytem, to ten świadczy wymownie, ile jest biegłym artysta w użyciu światłocienia. Przedmiot główny — wojownik, który tylko co z pola bitwy powrócił, zabiera się do odpoczynku, obok swych towarzyszy, krzątających się pośród zmęczonych koni, oraz różnych porozstawianych i porozrzuconych części taboru wojennego. Na tego wojownika i obok niego padła główna masa światła obrazu, która powoli zatapiając się w przeróżne szczegóły kompozycji, w załamy domostw, ganków, przechodzi wreszcie w mroczny półcień.

Tym sposobem postać wojownika, na którym chciał artysta skupić całą uwagę patrzących, wypieszczona, wymalowana z artyzmem niezwykłym, góruje nad pozostałymi częściami kompozycji. Postać ta, jak wiele zresztą figur p. Brandta, wykazuje również inną zaletę, oprócz przytoczonych: realizm tego artysty, ile możności zgodny z naturą, a zresztą i z wybornym smakiem używany. Pod tym względem wyróżnia się Brandt mocno od reszty Monachijczyków, braci po pensji. Jest realnym, ale nie nagim w pomysłach; jest ścisłym w rysunku, ale nie trywialnym; jest śmiałym w konturach i płaszczyznach zdecydowanych, ale bynajmniej nie powierzchownym.

Czy to przedstawia „*Oddział wojowników u przewoźu*,” czy „*Powrót z jarmarku*,” czy wreszcie scenę wojskowo-ludową, jak n. p. z tematu pioski „*Puk, puk w okieneczko*,” wszędzie jest biegłym znawcą w obraniu punktu widzenia, tak aby przedmiot zyskiwał czy to przez malowniczość strojów, czy skutkiem perspektywy, która u niego zwykle bywa wyborną.

Oto charakterystyka ogólna działalności jednego z mistrzów naszych. Nie tu miejsce określać jego stanowisko szczegółowić; wymagałoby to tak obszernego studium, jak obszernym jest pole tej działalności. Szczegółowe przyglądanie się twórczości Brandta mogłoby naprowadzić nas na pewne wymagania co do psychicznej strony jego figur wogóle, które często zbyt jednakowem odznaczają się piętnem. Znadto w wielu jego obrazach występuje indywidualność artysty, który tworząc szybko, od jednego zamachu, zwraca raczej uwagę na *masy*, niż na *rozmaitość* charakterystyki. Charakter jego ludzi jest zawsze *jeden*, nieodmienny, wszędzie występujący — charakter o motywach obozowo-szlachecko-junackich. Trudno atoli żądać na seryo skończonego we wszelkim kierunku mistrzostwa. Brandt jest przedewszystkiem batalistą świetnym pod względem *ogólnego charakteru*, kolorytu i rysunku. Bitwy jego, to nie chaotyczne starcia; to masy, pełne życia, kierowane ręką artysty, niby ręką wodza.

W tym jego oryginalność, w tym różnica od mnóstwa innych Monachijczyków.

Brandt pracuje obecnie w pełni swego talentu i siły. Jest on kierownikiem kolonii polskich malarzy w Monachium, a w liczbie uczniów swoich liczy już takich wybornych artystów, jak na przykład Alfred Kowalski. Niezmordowany w pomysłach, pracuje Brandt na tej świetnej arenie, którą niby wstępnym bojem zdobył od jednego zamachu. Twórca jest i samoistny.

Wiek jego (urodził się bowiem w roku 1843), niedochodzący nawet do tej pełni lat męskich, z których się pysznił Dante, przy rozpoczęciu swojej do piekieł wędrowki, obiecuje, że stworzy on jeszcze dzieł wiele, które przyniosą zaszczyt jemu i kochającemu go krajowi.

Syntezą nazywa tu autor połączenie i pogodzenie, przez dwa światy zaś rozumie odwieczne w myśli ludzkiej i w nauce przeciwieństwo pomiędzy duchem i materią, pomiędzy poezją, religią i filozofią z jednej, a zimną i nagą wiedzą zmysłową z drugiej strony, pomiędzy idealizmem i realizmem. Całe dziełko jest trzymaną w stylu dość górnym i błyskotliwym pogadanką o tych odwiecznych sprzecznościach, zaprzatających umysł ludzki i od wieków znajdujących szeregi krańcowych zwolenników i obrońców. Nie jest to bynajmniej wyczerpujący traktat filozoficzny, ani *credo* idealnego realizmu, jak jakie uznali to dziełko niektórzy recenzenci; dotyka ono tylko przelotnie głównych, oddawna znanych, punktów walki pomiędzy idealistami i realistami, rzuca gdzieś gdzie trafne myśli o naturze, zbliżeniu i pogodzeniu tych przeciwieństw, przypominając w formie zwięzłej i przekonującej niektóre z najważniejszych zarzutów przeciwko krańcowym realistom, wierzącym tylko w zmysły i materię, odrzucającym prawa uczucia i obojętnym na wyższy polot ducha i szlachetniejsze strony jego działalności.

Na początku wymownymi słowy kręśli autor teraźniejsze położenie ludzkości na rozdrożu dwóch światów i urzeczywistnianie się w nauce, religii i moralności owego radykalnego przewrotu, owego nowego stanu rzeczy, oddawna oczekiwanego i zapowiadanego. Ten przewrót radykalny, ten nowy stan rzeczy — to, jak wiadomo, odrzucenie tego wszystkiego, co ludzkość czciła dotychczas, zupełny rozbrat z ideałami, próżnia i wątpienie w religii, nagi materializm w nauce, zasada egoizmu i walki o byt w czynach i w ustroju społecznym.

Zaznaczwszy niemożność obojętnej zachowania się wobec walki dwóch sprzecznych kierunków, które nazywa niebem i ziemią, autor w świetnej alegorii wykazuje, że przeciw obydwa są bliźniętami — dziećmi jednego ducha — i czerpie ztąd otuchę, że kiedyś nastąpi ich zbliżenie się i pojednanie. Przystępując następnie do scharakteryzowania niektórych najważniejszych punktów spornych, autor przedewszystkiem zajmuje się pytaniem: co to jest *materyja*? Wiadomo — chociaż to rzecz dziwna i osobliwsza — że uznając materię za coś oczywistego i niewątpiwie istniejącego, materialści dotąd nie wiedzą sami, co to jest *materyja*, ani jej zadowolająco określić nie potrafia. Autor uwydatnia swą dążność do monizmu i do uznania materii myślącej tym głównie, że zaprzecza zwykłemu pojmowaniu, według którego *materyja* jest to, co nie myśli, nie czuje i nie działa. Główny jego argument w tej kwestii stanowi ten pewnik, że nie jesteśmy w stanie wejść w naturę rzeczy, które uważamy za martwe, pozbawione uczucia i myśli, nie jesteśmy w możności postawić się w położeniu kamieni, nie zbadaliśmy kwestii ich życia, a nawet nie posiadamy klucza do rozwiązania tej zagadki. Rozpatrujemy ten kamień wzięty oddzielnie, oderwany od całości wszechświata, z jego prawami i harmonią, a tak samo n. p. rozpatrując palec, w oderwaniu od całości organizmu, mogliśmy uznać go za rzecz martwą, uczucia i działalności pozbawioną. Wszak n. p. kryształ mineralny są oznaką jakiegoś życia, a nawet działania myśli rozumnej. Jeżeli więc czego nie znamy, nie wiemy, lub dopatrzeć się nie możemy, nie wynika ztąd, że to czego nie widzieliśmy, jest niemożliwym: niema przeto pewności, że świat *materyalny* jest martwy.

Wszystko to prawda, ale z drugiej strony, można by zarzucić autorowi, że tak samo każe nam wierzyć w powszechne życie materii, powołując się na przedmioty, w których położeniu postawić się nie możemy; że tak samo, podając w wątpliwość martwość materii i przy pomocy słabych oznak mniemanego życia, uwierzył w to życie

głównie dlatego, że martwość dowiedzieć trudno. Z punktu wymagań ścisłej logiki nie jest to zadawalającym. Nadto tém przypuszczeniem przesądza autor kwestyą stosunku lub nieodłączności materii od siły, kwestyą *substratu*, jak dawniej mówiono, to jest materii, jako narzędzia siły zewnętrznej, niekoniecznie zaś jako jej źródła. Kryształ może być objawem siły rozumnej i myślącej, zkaż jeszcze nie wypływa, że sam kryształ obdarzony jest myślą i rozumem, a przynajmniej dowiedzieć nie potrafimy, że on *bezzwzględnie sam* się ukształtował. Są zresztą rzeczy, które dla nas ludzi stanowią niewątpiwie *materyją* pozbawioną uczucia i myślenia, jak np. martwe zwłoki ludzkie.

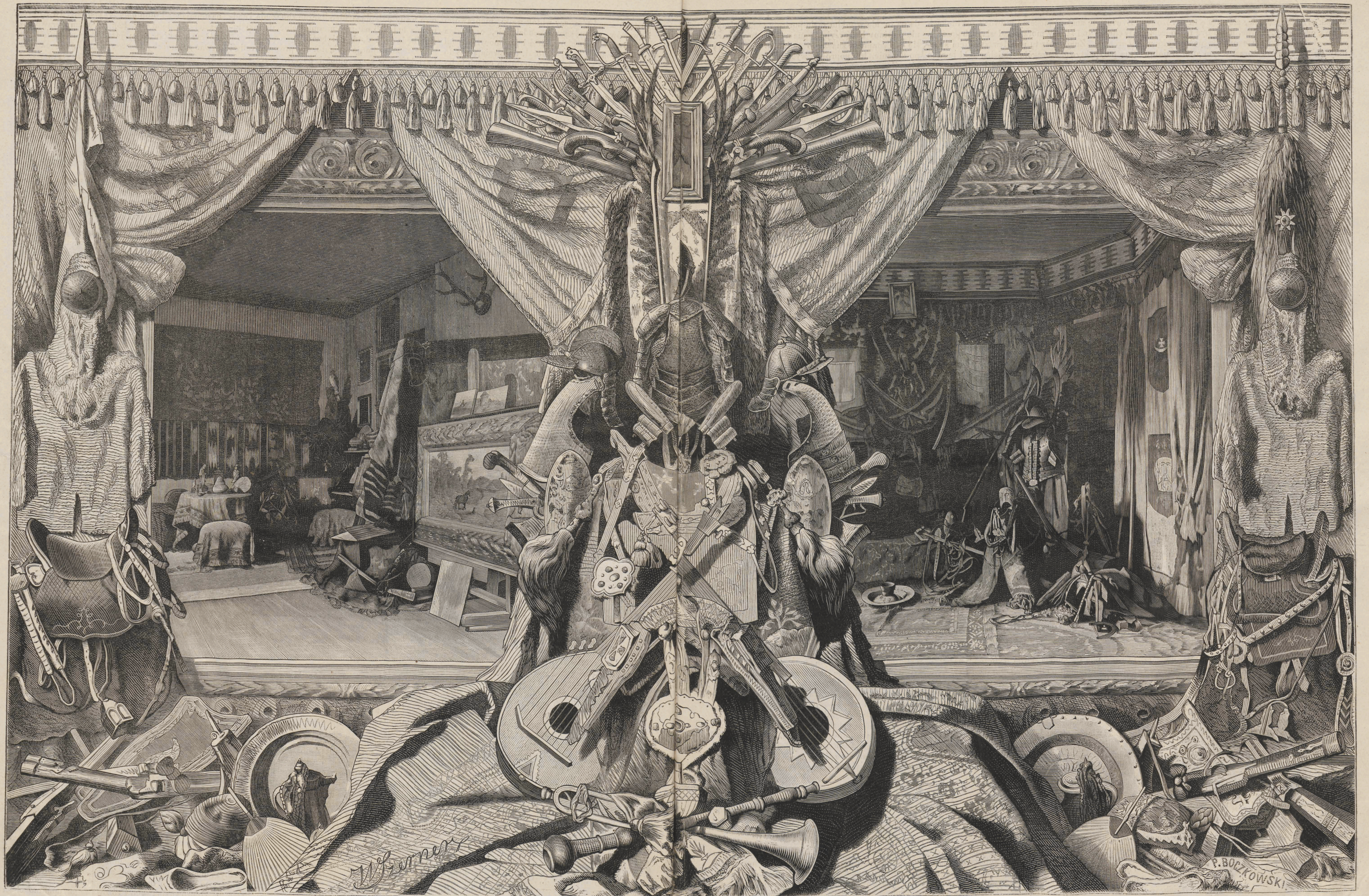
Jakie więc jest określenie materii przez autora? Oto, według niego, „*materyja jest to wszystko, czego doznajemy jako zapory zewnętrznej, ograniczającej nasze wewnętrzne zdolności*.” — I o tém określeniu dałoby się powiedzieć dużo — i ono nasuwa nieco trudności. Jeżeli tu bowiem mowa o pojedynczym człowieku, to przecież wiadomą jest rzeczą, że jeden człowiek może być zaporą dla drugiego, a więc nawet duch jednego człowieka będzie dla drugiego *materyją*; jeżeli zaś powyższe określenie stosuje się do człowieka w ogólności, to zdawałoby się, że zaporą działalności duchowej czyli życia nie może być inne życie, inna działalność duchowa, lecz musiałoby to być coś martwego, jakaś *rudis indigestaque moles*, a więc wrócilibyśmy do owego zwykłego pojęcia materii, jako czegoś martwego, pojęcia, przeciwko któremu walczy nasz autor.

Jeszcze mniej przekonująco wydają się nam dalsze uwagi autora, w których wypowiada, że „*nawet najczystszej ducha, samego Boga, nie ujrzyz nigdy inaczej, jak w formie materialnej, w formie czegoś względem Ciebie zewnętrznego, w formie zatory, ograniczającej twego ducha*” (str. 41). Prowadzą one nietylko do panteizmu, co dostrzega i sam autor, ale nawet, powiedzmy prawdę, do fetyszizmu. To też autor widocznie cofa się przed konsekwentnem rozwinięciem tej nieco żącej myśli i wykazuje, że świat nie jest Bogiem, ale tylko „*jedną myślą w duchu Bożym*.”

Cofamy się od tej pochyłości, grożącej mistycyzmem, i wracamy jeszcze do materii. Rozebrane przez nas uwagi autora w tym przedmiocie wykazują raz jeszcze, jak trudno zdobyć się na jasne określenie tego pojęcia. Materialści niebardzo wiedzą, co to jest *materyja*, ale i idealści wiedzą niewiele więcej. Sam nawpół barbarzyński wyraz *materyja* nie tłumaczy; pochodzi on, jak wiadomo, od wyrazu *mater* (matka) i wziął początek w półmistycznych systemach, wykwitłych ze szkoły Platonickiej, w których ducha nazywano ojcem, a *materyją* (może lepiej bryłę) matką wśczech rzeczy.

Ponieważ zaś, jak i p. S. wspomina poniżej (str. 91), wszystko co nauki przyrodzone wiedzą o materii, ogranicza się do hipotezy *atomów* i uznania *ruchu*, a samo pojęcie atomów jest abstrakcją niemal bez realnej treści, czy nie lepiej więc byłoby określić *materyją* jako istność nieznaną, objawiającą się w ruchu, podobnie jak duch jest istnością nieznaną, objawiającą się w uczuciach, myśli, chęciach i uczuciach? O wzajemnym stosunku ducha i materii, o ich przypuszczalnej jedności w źródle, jako dwóch postaci jednego istnienia (Spinoza) — nie wiemy i tylko marzyć możemy, choćby dlatego, że według logiki, trudno wiedzieć jakiegokolwiek szczegółów o rzeczach *nieznanych*, o których to tylko wiemy, że istnieją.

W dalszym ciągu wykazuje autor, że owa ślepa i mechaniczna konieczność, przed którą bija czołem materialści, może być tylko rozumną prawidłowością. Dalej, mówiąc o rozstroju i walce ludzi z naturą i pomiędzy sobą, wspomina o pierwotnym, prawdopodobnie niewinnym złotym wieku ludzkości (mrzonka nieco wątpiwa), źródło zaś rozstroju na świecie widzi w *rozstroju wewnętrznym* człowieka, a mianowicie w buntowniczej pysze *samowiedzy*, która doprowadziła ludzi nietylko do kierunków skrajnych i negacji, ale nadto do egoizmu, waśni i walki. Zastanawia się



Pracownia Jozefa Brandta w Monachium Rysował na drzewie W. Szerner.

ko, jak w kaleidoskopie, zléwa się tu w różowosinawy odcień. Zapewne, może być tak gorące natężenie światła i może ono w pewne główne tony przystrajać krajobraz; w tym atoli krajobrazie niedostatecznie to jest uwdatnionem. Jeżeli bowiem do monotonności danych szczegółów krajobrazu przyłączy się jednostajność koloru i jednostajność światła, praca taka z konieczności przedstawi się ujemnie. Otóż że monotonnymi są owe szeregi niewielkich skał, otaczające stawy, przyznać to musi artysta, gdy zechce być sprawiedliwym; światło także żadnego nie posiada natężenia, żadnego stopniowania, prócz małego skrawka nieba. A tymczasem ileż szczegółów, pożądaných artystom, przedstawia natura w krajobrazach górskich! Owe strome zręby, roślinność, oderwane kamienie, omszone złomy, powierzchnia wód, stawów, czy strumieni, uroki oddalenia i tyle innych piękności, ileż przedstawiają bogactwem! Trzeba tylko umieć wybrać i przedmiot i punkt widzenia. Daleko już szczęśliwiej wykonane były owe krajobrazy, pełne przepaści groźnych i urwisk malowniczych, w których p. Schouppé dotychczas się lubował.

Oto mamy jeden jeszcze, niestety ostatni z krajobrazów, jakie malował najczęściej zgasły niedawno *Szermentowski*. Kępa drzew wielkich opodal, a ku nim droga wiedzie przez mostek; skąpy potok przemykający się pośród trawy i kilka sztuk bydła, zbliżającego się ku mostkowi—oto główne zarzysy obecnego krajobrazu, malowanego jak i wszystkie poprzednie tego rodzaju. Rzadko w krajobrazach *Szermentowskiego* napotykamy oświetlenie silne, żywe, śmiało akcentujące dany widok; częściej widzimy je w postaci blasku, przenikającego nawskróś mniejsze lub większe drzew masy. Nie w tém też była główna zasługa tego artysty. Celował on w półświatłach, w uroczych zagłębieniach roślinności i, jak nieraz mieliśmy sposobność przytoczyć, w malowaniu ustroja. Tam to półcień jego przybierał wymowną przejrzystość, spokojność i naturalność. W takich zaś pracach jak dzisiejsza na wystawie, bywał po większej części monotonnym nietylko w światłach, lecz i w szczegółach krajobrazu. *Szermentowski* stawał się pejzażystą wyborem dopiero wtenczas, gdy wziął pod penzel cząstkę krajobrazu, niby epizod do powieści. Wtedy czy pień drzewa, czy konary, czy uschłe liście, czy omszony kamień, nabięrały barw dziwnie poetycznych i wymownych: artysta stawał się twórczym.

Rozwodzić się tu nie będziemy nad talentem zmarłego, gdyż wiele razy mówić o nim mieliśmy sposobność; zresztą stanowisko tego malarza ocenione już zostało w życiorysie, który w tych czasach podał nasz *Tygodnik*. Pozostaje tylko żałować szczerze, że zgasłszy w sile wieku, nie miał czasu rozejrzeć się po bogatym obszarze, który był jego polem. *Szermentowski* gromadzić umiał niekiedy pod swoim penzlem błogie barwy skromnych naszych krajobrazów i kazał je nam kochać, jak je sam umiłowal. Kochał bowiem stale i gorąco, pomimo długoletniego pobytu w obczyźnie, nasze łąki i pola, nasze wierzyby rosochate, nasze rzeki i strumienie, nasze kościółki drewniane...

Musiemy tu także wspomnieć o p. *Pruszkowskim*, który w nadesłanej na wystawę „Nocy Ś-to Jańskiej“ złożył dowody niemałego wyrobienia techniki. Pomimo to obraz ten, przedstawiający młodego chłopka, gdy pełen przastrachu skrada się po tajemniczo bogactwo, po kwiat paproci, wygląda zbyt jakoś chaotycznie, tak że spojrzawszy, długo nie można rozróżnić nic więcej, prócz masy gałęzi i liści, oświetlonych blaskiem księżyca, którego domyśleć się należy. Otóż jeżeli trudno z tego nieokręślonego gąszczu wymiarkować, do jakiego stanowiska doszedł malarz w kompozycji, w stylu, w rysunku wreszcie, to przecież użycie światła w tej nocy świętojańskiej świadczy, że ma silne poczucie kolorytu. Od artysty zależy będzie wykazanie, jakie inne jeszcze zalety penzel jego posiadać może.

Czego żądać należy od obrazów morskich, jeżeli przedstawiają pogodę, słoneczność i ciszę? Przedewszystkiem przestrzeni, powietrza i nieba.

Żywiły te znaleźć możemy w dwóch „Widokach Wenecyi“ od strony morza, nadesłanych przez p. *Lavezzari*. Znajdziesz tu przedewszystkiem świetną perspektywę, szczególniej nieba. Od tego to artyści uczyliby się powinni młodzi nasi malarze, jak daleko zejść można, sumiennie traktując takie nawet dziedziny sztuki, gdzie napozór dowolność granic nie ma. Zapomina bowiem niejeden, że perspektywa powietrzna takie same jak i wszelka inna posiada warunki, jeżeli zwłaszcza choćby najdrobniejsze obłoczki na widokregu się znajdują. I na niebo patrzy prawdziwy artysta z pewnego oznaczonego punktu; wie on, że według słów *Leonarda-da-Vinci*, przestrzeń nieba, tak samo jak każdy inny przedmiot pejzażu „*deve esser vista da una sola finestra*“ (powinno być oglądane przez jedno tylko okno). Niebo p. *Lavezzari*, zasnuwane leciuchnemi, przejrzystemi obłoczkami, niby poprzerywaną gdzieindziej gazą, utrzymane w wybornych tonach perspektywy, najznakomitszą jest częścią oba obecnych krajobrazów. Łatwo się więc domyśleć, że jeśli ta część najtrudniejsza oddana została szczęśliwie, i pozostałym nie zarzucić nie można. Istotnie pełną prawdy i pogody jest ta cicha powierzchnia morza, w której jedna za drugą suną się łodzie, niby ląbędzie, i z po za szyby której świecą mury wynioslejszych portowych gmachów.

Mamy także kilka drobnych widoczki morskich p. *Łaszczyńskiego*. Koloryt ich jest pociągający i barwny, ale czy nie trochę przesadzony, czy nie zawiele w nim błękitu? Zbyt mało tam typowych, charakterystycznych objawów morskiego świata, który, choćby tylko w małym skrawku przybrzeżnym został przedstawionym, powinien przecie jakim szczegółem różnić się od krajobrazu zwyczajnych jezior. I morze podczas pogody bywa spokojnym jeziorem, ale jeziorem któremu towarzyszy majestat ogromu...

P. Gryglewski, który od pewnego czasu zajął się przenoszeniem na płótno pamiątkowych naszych gmachów, najbardziej na uwagę zasługujących, i który dał nam już wnętrza kościołów: *Maryackiego* i katedry na Wawelu, wnętrza kilku zamków galicyjskich, oraz naszych Łazienek królewskich i Willanowa, wykończył świeżo salę zamkową w Warszawie. Bardzo dawno nie widzieliśmy jej w naturze, o ile jednak przypominamy sobie ogólne wrażenie, jakiego się w niej doznaje, jesteśmy zdania, że ta sala najmniej się udała p. *Gryglewskiemu*. Sala o której mowa posiada rozmiary tak znaczne, że bliskość lub oddalenie szczegółów nabierają znaczenia. Tymczasem w obrazie p. *Gryglewskiego* poczucie głębi, które tak pięknie uwdatnionem było na przykład w sali łazienkowskiej, prawie zostało zatracane. Zda się że te ściany i ozdoby cisa, kupią się ku sobie; wszystko odrazu staje przed oczami; brak stopniowania siły malowanych przedmiotów. Ztraca się tu harmonia i swoboda, która wybitnie na przykład w sali zamku podhoreckiego, tegoż artysty. Z takiej monotonii traktowania wynika jeszcze i to, że wszystko wydaje się ciężkim, że niektóre delikatne lub szkliste ozdoby zagrubo się rysują. Słowem, w tym ostatnim obrazie p. *Gryglewskiego* znać jakoby przesyt, który sprawił, że artysta patrzył więcej na ścisłość w oddaniu przedmiotów, niż na artyzm i harmonię, które w innych swoich tego rodzaju obrazach tak świetnie uwdatnił.

Najlepsi malarze, tak dawniejsi, na przykład *Van-Dyck*, jak i nowsi, na przykład *Ingres*, przed malowaniem portretów, które ich wślawiły i które dziś błyszczą na widokregu sztuki, długo niekiedy badali fizyognomie swych modeli. Wyczekiwali oni na chwilę, w której im się prawdziwy człowiek, prawdziwy charakter lub typ ukaże. Ten żywiol znajdować się powinien w każdym portrecie, jeżeli podobizna nie ma być pospolitym odtworem rzeczywistości. Zarzucić tu kto może, iż są figury, które się portretować kazały nie dla intencji artysty, lecz dla siebie samych. Zgo-

da na to, ale w takim razie portrety tego rodzaju nie powinny być przyjmowane na wystawy. Skoro się tam znajdują, znaczy to że ich twórcy sięgają po uznanie, lub poprostu występują dla wykazania, ile są biegłymi w swojej gałęzi malarstwa, a skoro występują w takim charakterze czysto artystycznym, godzi się też od nich wymagać artyzmu.

Prawdziwy artysta-malarz portretów, napozór ograniczony w przedmiocie, mnóstwo posiada w rezerwie środków, na wypadek jeżeli mu model nie dopisze, to jest jeżeli mu wybitniejszego nie przedstawi charakteru. Wówczas koloryt, natężenie światła, chwila w jakiej jest przedstawiony przedmiot portretu, tysiące szczegółów, mogących przez kontrast lub harmonię uwdatnić to, co się pospolitem wydaje, lub osłabić, co w rzeczywistości uderza nieprzyjemnie, uśmiech lub spojzenie bystrzejsze czy złagodzone, barwy ubioru dobrane do koloru skóry—i bardzo a bardzo wiele innych tajemnic artystycznego bogactwa, może wystąpić w pomoc malarzowi. Potrzeba tylko, aby umiał ich użyć.

Ta właśnie obfitość środków przyjdzie sobie w pomoc w razie jałowości modeli, pozwala artystom nawet z postaci pospolitych malowane portrety przetwarzać w dzieła pierwszego rzędu, nawet w dzieła nieśmiertelne; pozwala im, niezależnie od podobizny, nadawać swój styl i wszystkie swego penzla zalety. *Rembrandt* osiągał to zapomocą mistrzowskiego światłocienia; *Holbein* zapomocą wyboru barw i rysów, o niesłychanie dokładnych i dobitnych liniach; *Van-Dyck* zapomocą przelęwania w swoje figury portretowe szlachetności i podniosłości swego stylu.

W znajdującym się obecnie na wystawie portrecie damy w czarnej sukni, penzla p. *A. Grabowskiego*, na pierwszy rzut oka dostrzedz można, że chciał w tym portrecie wyjść koniecznie z pospolitości, że chciał się wspomóc akcesoryami, że piał się do osiągnięcia stylu. Już same te chęci na otuchę zasługują, jakkolwiek są tu tylko dość słabym usiłowaniem. Chciał on widocznie namalować portret młodej kobiety inteligentnej, w którejby z podobieństwem łączyły się wdzięk i powaga. Ztąd też widzimy postać portretową w całej figurze, stojącą, w ciemną suknię przybraną i jakby rozbiierającą coś w myśli. Nic jednak nie przyciąga nas do tego portretu, ani siła wyrazu, ani koloryt ciała, ani żadna z wybitniejszych zalet penzla. Niema tam ani prawdy w karnacji, ani zręczności w konturach twarzy, tu zbyt miękkich i nikłych, owdzie ostrych lub ciężkich. W każdym razie portret ten, jako usiłowanie, zasługuje na wzmiankę, gdyż największa liczba portretów na naszej wystawie nie posiada i tych nawet śladów szlachetniejszego dążenia.

Nikt zaiste z tutejszych malarzy nie potrafi tak władać pastelem, jak p. *Maleszewski*, który i teraz dał nam portret mężczyzny, pastelami wykonany. Rzecz powszechnie wiadoma, że ten sposób malowania najwdzięczniejszym bywa tam, gdzie chodzi o ciało delikatne, przejrzyste, pełne koloru i życia, o kontury ginące w subtelnych liniach, słowem o wdzięk, świetność barw, o młodość i czary... Sam sposób użycia farb przez rozcieranie woła przedewszystkiem o takie przedmioty. Trudniej daleko penzlem, niż pastelem, uwdatnić w twarzach młodych kobiet ów puszek brzoskwinowy dziewięć i piękna. Słowem pastel, dobrze wykonany, zdaje się posiadać w sobie substancją jakąś słoneczną, jakąś przejrzystość i czystość, coś niby odcień mgły porannej, przez którą purpura zorzy przegląda... Pan *Maleszewski* też nie zostawił odłogiem dziedziny, do której pastel najlepiej się nadaje. Mnóstwo drobnych portretów kobiecych wyszło z pod jego ręki...

Naturalnie że dla tej swojej wyłączności niejako, pastel w twarzach męskich rzadziej bywa udatnym, a bardzo już trudno zastosować go do portretów osób starych, o rysach pomarszczonych, strawionych wiekiem. Pan *Maleszewski* jednak, jakoby posiadając świadomość sił swych w tym zakresie, dał nam pastelowy portret mężczyzny. Wiedział artysta, że do tej twarzy sposób ten malowania z powodzeniem zastosował...

